
R. VII DZISNA 1936/1937

NASZ DWUMIĘSIĘCZNIK
NAUKOWO
LITERACKI **GŁOS**
SPOŁECZNY

ORGAN MŁODZIEŻY
SZKOLNEJ



PANSTWOWE GIMNAZJUM
MKS. G. PIRADOWICZA.

Treść numeru 3.

1. Mleczarstwo w pow. dziśnieńskim.
2. Nowa książka O. Hedemanna.
3. O baśni białoruskiej.
4. Legendy kresowe:
 - a) Jezioro Oświato.
 - b) „Prancuzy“.
5. „Tałaka“.
6. „Kreszczeński wieczór“.
7. Wyspa Podbipięty.
8. Moje miasteczko.
9. Wieczór zimowy na wsi.
10. Preliminarz budżetowy m. Dżisny na rok budżetowy 1937/8 uchwalony przez Radę Miejską.
11. Jak się podróżuje w XX wieku.
12. Koncert w Dziśnie.
13. „Antygona“ na scenie dziśnieńskiej.
14. Zakładamy muzeum regionalne.
15. Nowości naszej biblioteki.
16. Kalendarz reportera.
17. Kronika z Wilna:
Na inaugurację drugiego pięciolecia Koła Akademików Dziśnian U. S. B.
18. Rozrywki umysłowe.
19. Odpowiedzi Redakcji.
20. Regionalny dodatek muzyczny.

NASZ GŁOS

DWUMIESIĘCZNIK NAUKOWO-LITERACKI i SPOŁECZNY
ORGAN MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



12306

„Idą teraz godziny za godzinami, zwycięstwo za nami, przed nami szerokie życie. Burz dla nerwów niema, piękno jakby stygnie i człowiek czeka na nowego człowieka, aby piękno odrodzenia gdzieś wyszło, piękno chwili wiosny — wiosny nowego polskiego życia.

„Gdy myślę o tem, zbliżając się co krok do grobu, to zawsze mi się zdaje, że odrodzenie, piękno i pieśń odrodzenia nie z naszych niewolniczych piersi się wyrwie, — że piersi dziecinne i głosiki dziecięce tę pieśń, gdy dorosną, wypiewają, że one zobaczą Polskę odrodzoną, pełną śmiechu i szczęścia“...

Józef Piłsudski Pisma — Mowy — Rozkazy t. VIII str. 181.

Sar.p. A. Budziszca
Wibro

20.5.39.

Mleczarstwo w pow. dziśnieńskim.

Referat zbiorowy opracowany przez ucz. kl. VIII: W. Kożana, L. Pajkinównę, B. Szubicza, L. Świerdinównę i W. Zawadzkiego.

Mleczarstwo spółdzielcze istnieje na naszym terenie stosunkowo od niedawna. Dopiero przed 7-8 laty powstały u nas pierwsze mleczarnie, założone przeważnie dzięki wysiłkom ziemiaństwa. Dziś odgrywa mleczarstwo w życiu gospodarczym naszej wsi ogromną rolę. Mleczarnia jest jedynym miejscem zbytu mleka rolnika, nasze nieliczne bowiem miasta i miasteczka z powodu fatalnego stanu komunikacji i swego ubóstwa konsumują tylko drobną część produkcji mlecznej. Przed rozpowszechnieniem mleczarstwa spółdzielczego trzymał rolnik krowy, aby mieć obornik, bezpośrednio zaś dochody z obory były minimalne. Nic więc dziwnego, że na terenie, posiadającym wprost wymarzone warunki hodowlane, gospodarka hodowlana nie mogła się jednak rozwinąć. Teraz dopiero otrzymała gospodarka mleczno-hodowlana silną podstawę rozwojową. Już obecnie dają się zauważyć dodatnie rezultaty. Rolnicy, należący do mleczarni, przeprowadzają ściśłą selekcję bydła podnosząc stan liczebny, a przede wszystkim jakość inwentarza; często przechodzą również na gospodarkę wielopopolową, przynoszącą więcej paszy.

Mimo kryzysu mleczarstwo nadal się rozwija. Każdy rok przynosi wzrost ilości filii, zasięgu, członków, obrotów, produkcji. Trzeba jednak zaznaczyć, że rozwój nie jest proporcjonalny do możliwości. Do spółdzielni mleczarskich należy, niestety, tylko mała część rolników, nieświadomiona zaś reszta nie bierze udziału w ruchu spółdzielczym. Poza tym sieć filii mleczarni jest jeszcze dotychczas zbyt rzadka. Miejmy nadzieję, że najbliższa, tak pięknie zapowiadająca się, przyszłość usunie wszelkie braki, i bogate możliwości Dziśnieńszczyzny zostaną w zupełności wykorzystane. Już teraz w zakresie mleczarstwa przoduje pow. dziśnieński pozostałym powiatom Kresów północno-wschodnich.

Niżej podajemy krótkie sprawozdanie z działalności niektórych mleczarni naszego powiatu.

a) Mleczarnia w Plissie.

Spółdzielnia mleczarska w Plissie powstała w 1927 r. dzięki wysiłkom okolicznych ziemian. Kapitał zakładowy, uzyskany z dwu-

dziestozłotowych udziałów członków, okazał się zbyt szczupły, zaciągnięto więc pożyczkę w Banku Rolnym. W pierwszych latach mleczarnia była o ruchu ręcznym, następnie zaś przeszła na napęd elektryczny, lecz pasteryzacja i ogrzewanie mleka nadal odbywały się sposobami kuchennymi. Wobec stałego rozwoju mleczarni zaszła konieczność wybudowania odpowiedniego lokalu i zainstalowania napędu parowego. Obecnie posiada mleczarnia własny gmach, dwie lokomobile, własną stację elektryczną, dostarczającą energii elektrycznym motorom w poszczególnych działach przedsiębiorstwa, studnię artezyjską; parowe kotły dostarczają pary do pasteryzacji i ogrzewania.

Mleczarnia posiada 986 członków i działa w promieniu 20 km. Produkcja jest skierowana na masło i sery ementalskie. Dziennie wpływa od 2000 do 7000 litrów mleka; produkuje się zaś 100-300 kg. sera i 200-300 kg. masła.

Mleka ogółem dostarczono:

w r. 1935 1.543.000 lit.

„ „ 1936 1.703.000 „

z tego na masło:

w r. 1935 755.000 lit. mleka

„ „ 1936 1.097.000 „ „

na sery:

w r. 1935 788.000 lit. mleka

„ „ 1936 606.000 „ „

Za mleko na masło płaci się od 9 do 12 gr. za litr. Za mleko na sery płaci się trochę drożej, lecz wypłaty odbywają się nie co miesiąc, ale co kilka miesięcy (jest to związane z odmiennymi warunkami zbytu serów).

Mleczarnia należy do Związku Spół. Mlecz. i Jajcz. R. P. i za jego pośrednictwem eksportuje swe wyroby za granicę.

Mleczarnia prowadzi za pomocą kalendarzy, czasopism, książek i odczytów żywą propagandę spółdzielczą. Do mleczarni należą na terenie jej działalności wszyscy, posiadający mleko na zbyt. Według opinii kierownika mleczarni członkowie spółdzielni poprawili wydatnie swe gospodarstwa przez odpowiedni dobór inwentarza i lepsze karmienie. Urządzenia mleczarni pozwalają na daleko większą produkcję, stoi temu jednak na przeszkodzie brak mleka. Dowóz z dalszej okolicy jest uniemożliwiony stanem dróg. Kierownik wyraził również obawę, że zeszłoroczna posucha i spowodowany nią brak paszy źle wpłyną na produkcję w r. 1937.

b) Mleczarnia w Dziśnie.

Mleczarnia powstała z inicjatywy agronoma Bąclera 2 lipca 1929 r. Kapitał powstał z 199 udziałów po 25 zł. Ilość członków wynosiła 81. Mleczarnia rozwijała się dotychczas bardzo dobrze i posiada nadal tendencje rozwojowe. Liczy obecnie około 500 członków i posiada następujące narzędzia: dwie wirówki firmy „Alfa Laval“, odtłuszczające 1200 lit. na godzinę, aparat Gerbera, służący do analizy mleka, dwie maślnice i jeden wygniatacz. Spółdzielnia posiada trzy filie: w Jurkowie w odległości 18 km. od Dżisny, w Poniżowie w odległości 14 km., w Rundpolu — 12 km. i działą w promieniu 24 km. Produkcja skierowana tylko na masło. Przeciętnie wpływa dziennie 3250 lit. mleka, przeróbka zaś dzienna masła wynosi 150 kg.

Mleka otrzymano w 1936 r. 1.186 000 lit.

Produkcja masła „ „ „ 55 000 kg.

Za litr mleka płacono w 1936 r. przeciętnie 10 gr. Wyróby swe wysyłała mleczarnia dotychczas za pośrednictwem Związku Spół. Mlecz. i Jajcz. do Anglii, od 1 stycznia 1937 r. będzie wysyłała bezpośrednio do Anglii przez Gdynię. Co do swej produkcji zajmuje Dżisna trzecie miejsce po Plissie i Międzyrzeczu, zaś co do gatunku masła — pierwsze miejsce.

Kierownik mleczarni zaznacza, że mimo usilnej propagandy spółdzielczości nie wszyscy jeszcze rolnicy, posiadający mleko, należą do spółdzielni. Daje się jednak zaobserwować stały wzrost ilości członków i dostarczanego mleka. Sieć filii jest wystarczająca, dowóz mleka do filii i śmietany do centrali jest jednak utrudniony fatalnymi warunkami drogowymi, szczególnie w jesieni i na wiosnę. Rozrost mleczarni spowodował konieczność zmechanizowania urządzeń. Mleczarnia otrzymała z Banku Rolnego propozycję pożyczki 40.000 zł. na budowę lokalu, studni artezyjskiej i potrzebnych urządzeń mechanicznych. Mleczarnia propozycję tę prawdopodobnie przyjmie i wtedy zostanie rozbudowana i przekształcona na mleczarnię okręgową.

c) Mleczarnia w Ksawerynowie.

Powstała w czerwcu r. 1933 z inicjatywy Mariana Michniewicza, Jana Szyszki i Genadiusza Łabucia, naszego b. maturzysty. Kapitałem zakładowym były udziały członków w sumie 800 zł.

Urządzenie mleczarni i budynek jeszcze dotychczas nie są odpowiednie. Do r. 1936 odbywało się ręczne kręcenie masielnicy,

zaś od r. 1936 ręczno-kieratowe. Mleczarnia produkuje wyłącznie masło.

Produkcja w poszczególnych latach:

W r. 1934 . .	21.376 kg. masła na sumę	46.671 zł.
„ „ 1935 . .	38.230 „ „ „ „	82.854 „
„ „ 1936 . .	51.694 „ „ „ „	109.058 „

Mleczarnia posiada 5 filii, które działają w promieniu 20 km. wzdłuż rzeki Dżisny i obsługują część gminy hermanowickiej, szarkowskiej i zaleskiej.

Większość ludności na terenie działalności mleczarni nie jest objęta ruchem spółdzielczym.

Ogółem dostarczono mleka:

W r. 1933 . .	139.215 lit.
„ „ 1934 . .	461.377 „
„ „ 1935 . .	830.513 „
„ „ 1936 . .	1.102.400 „

Wypłacono członkom za mleko:

W r. 1933 . .	16.705 zł.
„ „ 1934 . .	39.939 „
„ „ 1935 . .	70.801 „
„ „ 1936 . .	94.538 „

Ilość członków:

W r. 1933 . .	19
„ „ 1934 . .	130
„ „ 1935 . .	268
„ „ 1936 . .	415

Kapitał mleczarni (udziały):

W r. 1933 . .	800 zł.
„ „ 1934 . .	3.091 „
„ „ 1935 . .	5.724 „
„ „ 1936 . .	7.300 „

Gospodarz, posiadający 3-4 krowy, ma rocznie dochodu z jednej krowy około 140 zł.

Największym rynkiem zbytu produkcji mleczarni jest Wilno, odbiorcą zaś — Związek Mlecz., a także prywatni kupcy.

Posucha w r. 1936 częściowo zahamowała rozwój mleczarni, gdyż wielu gospodarzy pozbyło się części żywego inwentarza.

Rozwój mleczarni na przyszłość zapowiada się bardzo dobrze. W r. 1937 projektuje się przerobić ponad 1.500.000 litrów mleka, a także założyć jeszcze parę filii.

d) Mleczarnia w Prozorokach.

Powstała w roku 1927. Kapitał zakładowy w wysokości 4.000 zł. stanowiły dwudziestopięciozłotowe udziały członków.

Urządzenie mleczarni jest bardzo proste, składa się bowiem z jednej ręcznej maszyny, dwóch beczek-masielnic i z kilku innych niezbędnych przyrządów. Mleczarnia produkuje tylko masło. Zasięg działalności mleczarni i jej trzech filii wynosi przeszło 12 klm. Teren, objęty działalnością mleczarni, posiada około 4000 gospodarstw, z których tylko 500 bierze udział w życiu mleczarni.

Dziennie wpływa do mleczarni przeciętnie 3000 litrów mleka, z którego produkuje się przeszło 140 kg. masła.

Wpłynęło do mleczarni mleka:

W r. 1935 890.000 lit.

„ „ 1936 900.000 „

Wyprodukowano masła:

W r. 1935 44.000 kg.

„ „ 1936 48.000 „

Cena jednego litra mleka (przeciętnie):

W r. 1935 8 gr.

„ „ 1936 10 „

Całą produkcję mleczarni pochłania Wilno, zwłaszcza Związek Mleczarski, częściowo zaś prywatni odbiorcy.

Mleczarnia rozwija się bardzo dobrze i znajduje poparcie ze strony społeczeństwa, jednak na tak wielkim terenie nie może objąć wszystkich rolników.

Poza zbytem mleka członkowie zwykle jesienią sprowadzają przez mleczarnię nawozy sztuczne po ulgowych cenach. Propagandę spółdzielczości prowadzi mleczarnia w miarę możliwości wszelkimi sposobami, a zwłaszcza przez pisma spółdzielcze, których bezpłatnie dostarcza członkom.

Nowa książka O. Hedemanna.

Ostatnio ukazała się w druku książka O. Hedemanna p. t. „Szkoły Walerjanowskie X. X. Pijarów Łużeckich“, interesująca nas, uczniów gimnazjum dziśńskiego, z wielu względów. Dwa są najważniejsze: książka traktuje o naszej dzielnicy i maluje na podstawie

autentycznych dokumentów obraz stosunków oświatowych sprzed stu lat. Dla nas jest to tym bardziej ciekawe, że na podstawie tego dzieła możemy przeprowadzić analogię do stosunków obecnych w tej dziedzinie w tejże prowincji.

Olbrzymie znaczenie zakładu naukowego w Łużkach zrozumiemy, gdy uprzytomnimy sobie trudności oświatowe naszych Kresów wschodnich dziś w xx-tym w. Szkoła łużecka, prowadzona przez księży pijarów, a ufundowana testamentem przez kasztelana połockiego Waleriana-Antoniego Żabę w r. 1741 i nosząca od imienia fundatora nazwę „Szkoły Walerjanowskiej“, istniała w Łużkach do r. 1832. Otwarcie zakładu naukowego w Łużkach przypadło na okres działalności wielkiego reformatora szkolnictwa polskiego Ks. Stanisława Korarskiego. Na losach „Szkół Walerjanowskich“ możemy obserwować losy szkolnictwa polskiego. w czasie jego największych przemian z okresu Komisji Edukacyjnej i Uniwersytetu Wileńskiego.

Nie tylko polskie szkolnictwo przeżywało w w. XVIII okres przełomowy. W całej Europie wiek ten stoi pod znakiem rewolucji pojęć i zmiany kryteriów. Tradycja, nadwerężona już przez humanistów, zastąpiona została przez krytykę i wiarę w postęp, które ujawniły się także w pedagogice. Humanitaryzm myślicieli wieku XVIII-go podyktował racjonalistom zajęcie się młodzieżą, której wychowanie pozostawiało wiele do życzenia. Zwrócono uwagę na wychowanie fizyczne młodzieży w celu spotęgowania sprawności fizycznej i przeniesiono punkt ciężkości nauki z jałowej scholastyki na przedmioty praktyczne, zapoznające ze wszechświatem. Teologia i retoryka zeszły na plan drugi, a na czoło wysunęła się fizyka i przyroda oraz matematyka i geometria. W „Szkolach Walerjanowskich“ uczono także rolnictwa, a szczególnie ogrodnictwa. Tabele statystyczne, zamieszczone w omawianym dziele, ilustrują prądy, dążenia i zdobycze pedagogiki owych czasów.

„Szkoły Walerjanowskie“ jest to dzieło dość pokaźne, bo liczące prócz wstępu 180 stron druku. Znajdujemy tu 6 rozdziałów, opisujących rzeczowo i dokładnie: wyposażenie i organizację szkoły, uczniów i personel pedagogiczny, naukę i wychowanie, wreszcie kasatę szkoły w r. 1832 przez władze rosyjskie za uczestnictwo uczniów i profesorów w powstaniu.

Na końcu książki znajdują się spisy nauczycieli i uczniów, bardzo dla nas ciekawe, gdyż niektórzy z nas mogą tam znaleźć imiona i nazwiska swoich dziadów. Władze rosyjskie nie pozwoliły nigdy na odbudowę szkoły, dobytek zmarnował się, a budynki zamieniły się w ruinę.

J. Sosnowik kl. VII

O baśni białoruskiej.

Przejście z epoki klasycyzmu do romantyzmu charakteryzuje zwrot do ludowości. Zwrot ten teoria literatury komentuje jako szukanie właściwych dróg do odtworzenia najistotniejszych cech danej narodowości. Poeci byli przekonani, że cechy rodzime, narodowe, przechowały się najlepiej w pieśniach i obyczajach ludowych, które wolne są od naśladownictwa obcych wzorów.

Za przykład może posłużyć Mickiewicz, który w balladach opiera się na pieśniach i baśniach ludowych, a w „Dziadach“ dramatyzuje obrzęd ludowy.

I dzisiaj prawie nic się nie zmieniło. Baśń czy ballada polska była i jest nadal zabarwiona właściwym sobie pierwiastkiem, który pozwala odróżnić ją, dajmy na to, od ballady niemieckiej. Słowem, świat fantastyczny, żyjący w ustach ludu, może nam posłużyć za tło do stworzenia szerszego pojęcia o tym ludzie.

Chcąc więc dać obraz ludu białoruskiego z uwzględnieniem wszystkich odcieni należy słów parę powiedzieć o baśni białoruskiej, której każde dziecko wsi kresowej słucha od kołyski.

Białoruś wszystko to, co jest związane ze światem fantazji, nazywa baśnią, a więc w zakres ten wchodzi legendy, ballady, bajki i t. p. Na istotny rys baśni białoruskiej składa się pomieszanie pierwiastków chrześcijańskich z pogańskimi. Jest to oczywiście wynik konserwatywnej obyczajowości ludu, która aż do naszych czasów przechowała resztki odległej pucizny. Potwierdzenie istnienia dwóch połączonych światów znajdujemy również w przesądach, których na Białorusi jest bardzo dużo.

I tak na przykład, kiedy wszywamy guzik do ubrania, którego nie zdejmujemy z siebie, trzeba wziąć w zęby nitkę albo szmatkę, bo w przeciwnym razie może nas spotkać kara boska w postaci przytępienia pamięci lub jej zupełnej utraty. Wycie psa Białorusin uważa za zapowiedź bliskiego pożaru lub bliskiej śmierci, podobno bowiem w całej okolicy wyły psy w czasie, kiedy Pan Bóg zapowiedział zniszczenie Sodomy i Gomory.

Najwięcej zabarwienia religijnego posiadają jednak legendy. Powstanie jezior, zdradzieckich „okien“ w błotach, strachy w młynach i opuszczonych dworach najczęściej tłumaczy się działaniem siły wyższej, boskiej albo szatańskiej. Oto jedna z charakterystycznych legend, osnutą na tle powstałej mielizny na jeziorze Miadzioł, w okolicy miasteczka o tej samej nazwie, co jezioro,

Jezioro Miadzioł ma tę charakterystyczną cechę, że środkiem jego można przejść z jednego brzegu na drugi nie zanurzając się głębiej w wodzie, jak po pas. Międzyzina ta powstała według legendy za czasów Chrystusa. Św. Krzysztof uciekając z Dzieciątkiem Jezus przed pćścigiem lotrów przeszedł w bród to jezioro i dlatego szlak ten pozostanie aż do końca świata.

Ulubionymi baśniami dzieci białoruskich są opowiadania o „Wańce duraku“. Nie ma chyba na Kresach człowieka, który zetknąwszy się bliżej ze wsią nie słyssał komicznych przygód „Wańki duraka“, który pomimo swojej głupoty zawsze wychodzi zwycięsko zdobywając dla rodziny nieprzebrane bogactwo. „Wańka durak“ żyje na Kresach w tak wielkiej ilości baśni, że trudno nawet ich liczbę w przybliżeniu określić.

Główną cechą tych baśni jest naiwność i niefrasobliwość kojarzeń. Zdarzenia w tych baśniach następują bez żadnej logiki splatając się w wielobarwną wstęgę nieprawdopodobieństw. Ta cecha jest wspólna wszystkim baśniom.

Zwrócić także należy uwagę na stosunkowo rzadko powtarzający się w baśniach motyw miłości. Spotykamy wprawdzie miłość jakiegoś tam „Wańki duraka“ do carewnej, ale miłość ta jest tylko narzędziem, wyzyskanym w celu wyolbrzymienia szczęścia, jakie spotkało głupiego. „Proza“ chłopska nie lubi zabawiać się miłostkami. Ciężko pracujący Białorusin, o ciasnym spojrzeniu na świat, woli marzyć o skarbach, prawdziwym szczęściu przy pracy na roli, niż o karierze miłosnej z księżniczką z bajki.

Uderza wielkie podobieństwo niektórych baśni białoruskich z balladami Mickiewicza. Sięgnijmy po parę przykładów. Słyszałem kiedyś od staruchy Białorusinki, mistrzyni w opowiadaniu baśni, taką opowieść.

Przed wielu laty pewna dziewczyna wiejska zgubiła krowę. Szukała jej długo chodząc po łące, usianej gęsto kwieciami, zarosłej z rzadka krzakami. Ze strachem myślała o karze, jaka ją spotka, gdy nie odnajdzie krowy. Wieczór zbliżał się. Nie mając siły dalej iść staje i głosem pełnym rozpaczyny woła po imieniu krowę. W tej chwili staje się rzecz dziwna. Dookoła dziewczyny, jak okiem sięgnąć, rozlało się jezioro, a ona sama znalazła się w środku jego na olbrzymim, wystającym z wody, kamieniu. Wtem z fal jeziora wynurzyła się postać dziewicy, która opowiedziała jej swoje losy. Była ona nimfą tego jeziora, na którym znajduje się teraz dziewczyna. Za karę, że wciągała królewiczów, którzy pragnęli ją zobaczyć, w toń

jeziora, została przez Boga pozbawiona swego królestwa, które zamieniło się w łąkę. Kara ta miała trwać do tej chwili, dopóki ktoś z ludzi, przechodzących przez tę łąkę, nie wymówi jej imienia. Dziewczyna wołając na krowę „Hania“ wymówiła równocześnie imię nimfy. Dziewczyna za cenę tajemnicy została ocalona i przeniesiona przez nimfę na brzeg. Wsi jednak rodzinnej nie znalazła, bo ta zapadła się w toń jeziora, ponieważ stała w miejscu zaczarowanym.

Taką to baśń posłyszałem z ust wiejskiej „znachorki“. Zdaje mi się, że opowieść ta nasuwa pewne analogie do „Świtezi“ i w pewnym stopniu do ballady „To lubię“.

Inne baśni, traktujące o samobójcach, o pobożności, jako najlepszej broni przed „niaczyścikami“, także przypominają niektóre motywy ballad Mickiewicza, lecz to pozostawiam na później.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na podobieństwo zakończenia „Pana Tadeusza“:

„I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem“.

z białoruskim zakończeniem każdej baśni:

„Ja tam byu, miód i wino piu,
Pa baradzie ciakło, a u rot nie papało“.

J. Bujonek kl. VIII

Legends kresowe.

Jeziro Oświato.

Niedaleko Rymek, rodzinnej mojej wioski, leży ukryte w rozległych mchach jezioro Oświato. Kształt ma podłużny, w środku trochę zwężony. Otaczające je mchy ciągną się daleko bez końca.. bez końca.. Gdzie niegdzie wyrastają kępki krzaków. Brzegi są pokryte krzakami malin i jeżyn. Prawdziwy kawałek tundry w Polsce! Nawet flora i fauna przypominają tundrę. Rośnie tu bohun, rosiczka, mnóstwo żurawin, pijanic a wodzą się pardwy, żurawie i wilki—istne królestwo wilków. Toteż nasłuchaliśmy się koncertów! Późnym wieczorem w jesieni lub w zimie, tylko otworzyć lufcik albo wyjść na ganek, a przeciągle, tęskne tony wilczych pieśni rozlegają się bardzo wyraźnie i napełniają dreszczem. Wieśniacy muszą dobrze pilnować swego dobytku.

Ale nie o tym chcę dziś napisać. Patrząc na wody jeziora dłu-

go, uważnie można dojrzeć w nim dziwne rzeczy. Jakieś ciemne cienie, jakieś niby zabudowania, niby mur jakiś, a w środku coś w rodzaju wieżyczki. Prawdopodobnie są to korzenie drzew, które rosły kiedyś na tym miejscu. O tym jeziorze istnieje ciekawa legenda, że w dawnych, dawnych czasach, na wysokiej górze w ogromnej puszczy stał pierwszy klasztor chrześcijański. Przeorem był w nim bardzo stary i mądry staruszek Oświat. Życie prowadził pobożne i twarde spędzając czas na pracy i modlitwie. Braciszkwowie pracowali z nim razem. Klasztor promieniał jak słońko wśród ómy pogaństwa. Szerzył oświatę i wiarę chrześcijańską wśród okolicznych pogan. Lecz lud tu był srogi, zatwardziały w pogaństwie, niechętnym ckiem patrzący na „nowe wymysły.“ Namęczył się stary przeor, namęczyli się braciszkwowie. Żadne dobrodziejstwa nie zdołały przekonać tych ludzi. Nienawiść ich przeciw zakonnikom wzrastała z każdym dniem. Na każdym kroku starali się zrobić przykrość klasztorowi.

Pewnego razu, a było to w Wielki Piątek, przeor wraz z zakonnikami udali się do pogan ze słowem bożym. W lesie rozdzielili się: dwóch poszło w jedną stronę, a reszta z przeorem w inną. Wkrótce przeor wrócił zmęczony, smutny, gdyż wyprawa jego nie dała żadnych wyników. Z niecierpliwością oczekiwał powrotu braciszków. Niestety, zapadła noc, a ich nie ma i nie ma. Zaniepokojeni braciszkwowie idą szukać zaginionych. Daremnie. Przeszła Wielka Sobota, a ich nie ma i nie ma.

Nastala ciemna noc. Koło klasztoru uwijali się poganie ustawiając posąg bożka i układając stos. W klasztorze właśnie odprawiano rezurekcję, gdy rozległy się dzikie wrzaski, jakieś śpiewy przeciągłe. Jeden z braciszków wybiegł zobaczyć, co one oznaczają. Z początku nie było nic widać. Nagle buchnął ogień (to poganie podpalili stos), i braciszek w tych płonieniach jak w mgle rzecznym twarze zaginionych. Od razu zrozumiał wszystko. Oto poganie na urągowisko pozostałym w klasztorze przynoszą w cifierze swemu bożkowi nieszczęśliwych zakonników.

Właśnie śpiewano pieśń zmartwychwstania, gdy przerażony braciszek powiedział przeorowi o tym, co zaszło.

„O Panie — zawołał zrozpaczony starzec — już nie mogę wytrzymać. Niech ziemia pokryje mnie i tych nieszczęśliwych.“

I oto raptem cerkiew, klasztor, stos ofiarny pogan i cała okolica powoli zaczęły zapadać w ziemię, aż zapadły głęboko i na tym miejscu powstało jezioro, nazwane ku czci staruszka przeora „Oświatem“ (później Oświato). Na miejscu zaś okolicznych wiosek

pówstały rozległe bagna i mchy, w których gniezdzą się wilki i ptaki. Ludzie tam boją się chodzić i żadna chatka nie stoi nad jego brzegiem.

Tylko raz do roku w Wielką Noc Zmartwychwstania, w chwili gdy zaśpiewają uroczystą pieśń, zatopiony klasztor wynurza się z wody, słychać dzwony i śpiewy, wychodzi procesja, przeor kończy rezurekcję. Lecz jak tylko kogut zapieje, klasztor zapada się znowu, i znowu błyszczy jezioro, jak przedtem. Ludzie wiedzą o tym, ale nikt nie odważy się pójść zobaczyć te dziwy.

N. Szaszko-Chwoszczyńska kl. II

„P r a n c u z y“.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem za miasto“... O tu, niedaleko, za wieś Moniakowo, na stare uroczysko, zwane „Prancuzy“ (jest to racz j zarośnięty, zaniedbany staw). Skąd taka dziwna nazwa—spytamy ze zdumieniem. Chcąc się dowiedzieć tajemnicy tego uroczyska pójdźmy do chatki starego wieśniaka, uprawiającego na wzgórzu swą rolę. Spytajmy go o uroczysko, a powie nam, dlaczego ten staw jest zarośnięty, dlaczego ludzie z niego nie biorą wody, dlaczego tu powstało jakieś dziwne, omijane przez ludzi, miejsce. Opowie na to, co opowiedział mu ojciec, a ojcu dziad czy też pradziad. Opowie nam, jak kroczyła Wielka Armia podczas odwrotu spod Moskwy w roku 1812, jak ginęli żołnierze od chłodu i głodu. Opowie nam o garstce Francuzów, która zawitała do ich wioski.

Oto niewielka grupka niedobitków brnie w śniegu. Głodni, wynędzniali żołnierze iść dalej nie mogą. Co chwila ktoś pada i już nie wstaje więcej. Tylko śnieg przykryje nieszczęśliwego i wicher zaśpiewa mu pieśń pogrzebową. Wtem zabłyśły światełka wsi Moniakowa. W dusze tych, umierających z głodu i wycieńczenia, ludzi wstąpiła otucha.

Tam ciepło... ludzie... a może i łyżka gorącej stawy...

A może wróg...— Boże, co robić?

Lecz głód i pragnienie ciepła zwyciężyły. Ledwie poruszając wargami i rękoma, w niezrozumiałym języku proszą o przytułek (a może i nie prosili, tylko od razu weszli i zasiedli do ogniska). Jak tam było—kto wie?

Podobno nakarmiono i ogrzano biedaków, ale nazajutrz... Zdziczali z głodu Francuzi nie chcą opuścić wioski bez zabrania

żywności, więc zaczynają rabować—wieśniacy bronią swego dobytku... W rezultacie wywiązuje się walka. Siekierami, kosami pozabijano nieboraków, a ciała ich wrzucono do pobliskiego stawu.

Minęło kilka dni. Wieś przeszła do zwykłego trybu życia. Lecz nagle ludność zaczęła chorować, a choroba zawsze kończyła się śmiercią. Była to cholera. Zaraza rozszerzała się coraz bardziej i przenikała do okolicy. Zawitała i do Dżisny i do okolicznych wiosek. Przyczyną choroby było picie wody ze stawu, napełnionego rozkładającymi się ciałami. Ludzie myśląc, że to zabici Francuzi mszczą się, zarzucili ten staw kamieniami, zasypali piaskiem, omijali z daleka. Tylko nazwa „Prancuzy” pozostała i przypomina nam dzisiaj o minionych dziejach.

Oto jest historia zarośniętego stawu, tej mogiły poległych Francuzów. A któż wie, czy wśród tych nieszczęśników nie było i naszego rodaka? Przecie tylu naszych walczyło i ginęło pod Napoleonem. Podobny los spotkał niejednego Polaka. Niejeden leży nie pogrzebany gdzieś w zarośniętym stawie lub w innym opuszczonym miejscu.

Czyż wydobycie podobnych historii nie jest ciekawe i czy nie warto tym się zająć?

B. Szaszko Chwoszczyński kl. I a

„Tałaka“.

Wieś Koleśniki, gm. mikołajewska, pow. dziśnieński.

„Tałaka” jest to zbiorowa praca, wymagająca wielu rąk, na którą zaprasza gospodarz dla przewiezienia np. hudyńku z jednego miejsca na drugie albo też przywiezienia materiału na budowę domu. Pod tą nazwą rozumie się taką pracę, którą wykonują sąsiedzi bezpłatnie, tylko za suty poczęstunek. Latem taką pracą jest wywóz „hnoju” na pole. Do tego działu pracy na roli przystępuje się zazwyczaj po starannym przygotowaniu. Kilka dni przedtem gospodarz idzie do sąsiedniej wsi, zaprasza „kapaczou” i „wasztajou” na „tałaku”. Poza tym ma jeszcze inne sprawy, jak np. robienie piwa z jęczmienia albo „samogonki”. Każdy gospodarz, u którego ma być „tałaka”, stara się jak najwięcej zrobić tych napojów dla robotników, aby chętniej pracowali. Gospodyni także chodzi do sąsiadek i zaprasza „trasienic hnoj traści”. Kiedy już wszystko jest przygotowane, ocze-

kują tego dnia, w którym ma być „tałaka“. Przyjrzyjmy się teraz samemu przebiegowi „tałaki“.

Od wczesnego ranka wszyscy zbierają się do „chaziaina“ na „tałaku“. „Kapaczy“ przyjeżdżają na koniach, a „wasztai“ przynoszą tylko długie bity do popędzania koni, żeby praca szła prędzej.

Gospodyni od samego rana przygotowuje śniadanie, a gospodarz pilnuje porządku i zachęca „kapaczow“, aby prędzej kopali, wtedy da dużo „harełki“. Przed godziną siódmą z rana gospodarz zwołuje wszystkich na śniadanie, podczas którego niekiedy schowa się, żeby nie dawać „kapaczom“ „harełki“, bo gdy robotnicy upiją się, słabo pracują. Ale za to gospodyni daje trochę swoich „karaniou“ „trasienicam“. Po śniadaniu wszyscy odchodzą znowu do pracy. „Kapaczy“ czasem gniewają się na gospodarza, że nie dał im wódki.

„Trasienicy“ idąc na pole śpiewają piosenki, związane z „tałakoj“. Podam kilka piosenek, które jednak nie są jednakowe we wszystkich miejscowościach. Melodie tych piosenek są jedne i te same. Różnica polega tylko w słowach, np:

„Dy dzińkujy swajej haspadyini
a szto dała harełki papić,
choć nia skora, dyk pahadziwszy,
choć nia mnoha, dyk zasaładziwszy“.

„Kapaczy“ tak samo jak i „trasienicy“ docinają piosenkami gospodarzowi, że nie dał „harełki“:

„Niestawa, niestawa, Hryszaczka, twaja,
nie piana, nie piana tałaka twaja.
Ci u ciabie jaczmięń ni uradziń,
zaczym ty, Hryszaczka, piwa ni zwaryu?“.

Gospodarz chcąc się usprawiedliwić odpowiada im także w podobny sposób piosenką:

„Nie uradziw jaczmianiok, tolki pszonaczka,
nie dała piwa waryć maja żonaczka.“

„Wasztai“ nie chcą być także w tyle, śpiewają piosenki i to głośno, żeby gospodarz słyszał:

„Tałaczu, tałaczu,
jaj harełaczki chaczu.
Jak budzisz boli harełki dawaci,
tady budzim skarej konikou pahaniaci“.

„Trasienicy“ pracując w polu śpiewają riekiedy piosenki, związane z ich własnym życiem, np:

„Biaroza karanista,
daw Boh mnie miłoha narawistaha.
Ja jaho narawy usie razwiedała,
sabrała siamiejku dy pašniedała“.

Gdy już zbliża się południe, wszyscy wracają z pola ze śpiwem na odpoczynek. Przerwa obiadowa trwa przeszło 3 godziny. „Trasienicy“ idąc do domu nuca piosenki dla gospodyni:

„Czyrwona kalinka,
czyrwona malinka,
czyrwaniej taho
nasza haspadyńka.

Pa dwaru chadziła,
uwieś dwor aświaciła,
na ganak ustupiła,
ganak abwaliła.

U sieni ustupiła,
służak pabudziła:
Wstawajcie służki,
wiernyja padróżki.

Stały zaściłajecie,
chleby nakładajecie,
czary nastawłajecie,
winom naliwajecie“.

Po paru godzinach odpoczynku wszyscy zbierają się na obiad, podczas którego jest dużo żartów i śmiechu. Gospodarz teraz daje więcej „harełki“ robotnikom. Po obiedzie każdy jest w humorze. „Kapaczy“ oblewają wodą najpierw gospodynię, żeby krowy więcej dawały mleka, a potem i młode dziewczęta, żeby prędzej wyszły za mąż. Po takiej przerwie wracają do pracy. „Trasienicy“ tak samo jak i przedtem idąc w pole przyśpiewują różne piosenki.

Teraz pracują bez odpoczynku aż do zachodu słońca. Praca w polu jest dość uciążliwa, szczególnie gdy pod koniec lipca bywają niekiedy wielkie upały. Po zachodzie słońca wszyscy wracają do domu na kolację. Kolacja jest bardzo charakterystyczna w swoim przebiegu. Wszyscy siadają do stołu, a gospodarz przynosi jak najwięcej „harełki“, żeby wszystkich upoić. Podczas kolacji każdy z robotników powie jakieś przysłowie z tego miesiąca, np: „lipień kosić i żnie, douha spać nie daje“, „chto u lipni na poli pacieje, taho u zimku i pieczka pahreje“, „lipień piakuczy, ale daruczy“. Wszyscy podchmieni śpiewają różne piosenki. „Kapaczy“ śpiewają niekiedy piosenki, związane z własnym życiem i losem, czy to że za wcześniej się ożenił, czy za późno, np:

„A żal za mnie, żal ni pomalu,
szto ja maładyj ni ażaniwsia,
a pad staryja leta ażaniwsia,
Uziau sabje żonku maładuju
dy i wybrau paścielku miakkuju.

Dy naszlisia dzietki małyja,
stali u mianie koni waranyja,
stali jeździć hości lubyja.

A jak loh ja spaci,

sašniusia muje son ni wiasolyj:

Szto maja śmierć ni daloka,
astaniecca żonka maładaja,
astaniecca paścielka miakkaja,
astanuecca dzietki małyja
i kinuć jeździć hości lubyja“.

I tak wśród zabaw i śmiechów schodzi niekiedy cała noc. Po takiej „tałace“ kobiety mają dużo tematów do rozmowy: krytykują gospodynię albo gospodarza, że mało dał „harełki“ i niedobrej (niemocnej). Gdy już gospodarz nie ma więcej wódki, wszyscy rozchodzą się do domów.

St. Dziemieszko kl. VII

„Kreszczeński wieczór“.¹⁾

Jutro „Kreszczenie“. Już dzisiaj od rana odczuwa się uroczysty nastrój. Post ścisły, nawet wody nie można się napić, gdyż o godz. 1 w cerkwi poświęcą wodę i dopiero po napiciu się jej można jeść. Od wczesnego ranka matka krząta się koło pieca. Trzy „kucie“ na cześć trzech króli w garnceczkach maleńkich stoją w przednim, honorowym kącie izby pod obrazami na sianie. Do „kuci“ są wsadzone ładnie wystrugane krzyżyki. Jedna „kucia“ musi być ze zwykłego pęczaku, druga jagłana lub hreczana, a trzecia z całej pszenicy, izby była ciemna na pamiątkę, że jeden z trzech króli był ciemnoskóry.

Na rzece też idą przygotowania. Urządzają „Jordan“. Wycięto z lodu i ustawiono duży krzyż, obstawiono choinkami, ułożono pomost. Jutro tu przyjdzie procesja, odbędzie się uroczyste nabożeństwo i poświęcenie wody. Ksiądz trzy razy zanurzy srebrny, wyłaczany krzyż w wodę (oj, zmarznie biedak w ręce), a gdy chór zaśpiewa „I Duch w widzie hołubinie“, ktoś wypuści gołąbka

¹⁾ Wigilia Trzech Króli.

i strzeli na wiwat. Przez trzy dni woda w rzece będzie uważana za święconą. Nie wolno jej zanieczyszczać ani w niej płukać bielizny. Ale to będzie jutro...

Tymczasem powrócono z cerkwi z wodą święconą. Każdy z domowników nabożnie się przeżegna i wypije wody święconej. Najstarszy w rodzinie zapala gromnicę, bierze kredę i wodę święconą, potem wraz ze starszym synem czy też wnukiem obchodzi wszystkie bułynki. Na wszystkich drzwiach trzeba wypisać krzyże i początkowe litery trzech króli: K. M. B. i pokropić wodą święconą, bo jutro poświęcą wodę w rzece i zły duch ucieknie z wody—będzie szukał przytułku. Trzeba zabezpieczyć ludzi i dobytek od nieszczęścia. (Lud wierzy, że zły duch nie mogąc być dłużej w poświęconej wodzie ucieka na wierzby i łozy. W Niedzielę Palmową poświęcą wierzby—musi uciekać do trawy, a na św. Jana poświęcą zioła, znowu ucieknie do wody i tam będzie siedział aż do Trzech Króli).

Krótki dzień zimowy chyli się ku końcowi. Zasiadają do wieczerzy. Wieczerza dzisiaj daleko jest skromniejsza, niż wieczerza wigilijna Bożego Narodzenia, bo to przecież „głodna kucia“. Ot „kucia“, kisiel, mleczko makowe, trochę blinów, śledzie i tyle. „Kucia“ jest tradycyjną potrawą i każdy z domowników musi zjeść choć małą łyżeczkę, resztę odda się bydłu.

Matka nie zraża się bardzo tym, że „kuci“ nadszarpnięto. Wie, że to dziewczęta „skradły“, noszą teraz „za pazuchą“, a wieczorem zawiną do szmatki i położą pod poduszką, a zmówiwszy trzy razy „Ojciec Nasz“ i „Zdrowaś Mario“ zawołają po cichutku: „sądzony, przeznaczony, chodź „kucię“ jeść“. Potem już nie wymówią ani słowa, bo „przeznaczony“ nie przyszedłby. Nawet stary dziad nie gniewa się, gdy nie znajdzie grzebień, by rozczesać długą swą brodę, bo wie, że któraś z wnuczek rozplotła warkocze i podłożyła pod głowę grzebień mówiąc: „sądzony, przeznaczony, uczesz mi włosy“. I babka się nie gniewa, gdy nie znajdzie kubka do wody. Wie, że stoi u córki lub wnuczki pod łóżkiem w postaci mostu i czeka aż „sądzony, przeznaczony“ przeprowadzi dziewczynę przez most.

A na ulicy słychać śmiechy i śpiewy — to młodzież wróży całą gromadą. Właściwie cały czas od Bożego Narodzenia do Trzech Króli jest okresem wróżb, ale najskuteczniejsze wróżby to w „Kreszeński“ wieczór. Toteż używa ich młodzież wiejska, używał! Oto idą na skrzyżowanie dróg. Całe towarzystwo stoi niedaleko, a ktoś jeden staje na samym skrzyżowaniu, odwraca się twarzą

do księżycy i mówi:

„O nocna cichości,
O jasny księżycu,
Powiedźcie mi proszę,
Co mię czeka w życiu“.

Potem przysłuchuje się pilnie. Posłyszysz dźwięk janczarek lub dzwoneczka—szczęście, jadą swaty; miauczenie kota—staropanieństwo murowane, a nie daj Boże posłyszeć śpiew przeciągły lub dzwony kościelne — to już śmierć. Nieraz taka nieszczęśliwa tak się przejmie, że naprawdę zachoruje. Ale w gruncie rzeczy takie wróżby są bardzo wesołe.

Ulica rozbrzmiewa młodym śmiechem. Nie gniewaj się, przechodniu przygodny, jeśli zostaniesz trafiony bucikiem w głowę. Wiedz, że to jakaś panna chce się dowiedzieć, w którą stronę wyjdzie za mąż, więc potrzyj trochę bolące miejsce i przypatrz się uważnie, którą stronę wskazuje nosek bucika. Nie gniewaj się, i ty, gospodarzu stateczny, jeżeli usłyszysz podejrzany szmer za oknem. Nie gniewaj się, lecz staraj się używać jak najczęściej wyrazów: „idź, wychodź“. Możesz nawet powiedzieć: „idź do diabła“ — to nic nie szkodzi. Ale lepiej, gdybyś powiedział: „idź z Bogiem“, bo wiedz, że to ciekawa swego losu dziewczyna podsłuchuje pod oknem, że dla niej „idź“ oznacza zamążpójście. Tylko broń Boże mówić: „siedź lub nie chodź“. Tych wyrazów lepiej nie używać w ten „Kreszczeński wieczór“.

Przepraszamy również i tę biedną wdowę, która nie doliczy się kilku polan drzewa, co leży na podwórku. Przecież tak ciekawie jest dowiedzieć się, jaki charakter będzie miał przyszły mąż. Czy dobry, łagodny, jak to polanko jest gładkie, równiutkie, czy też zły i brutalny, jak to polano sękatę, grube i krzywe.

A tam w izbie inne uprawiają wróżby: sypią ziarno i stawiają wodę, potem przynoszą koguta i puszczają. Jeżeli zacznie pić — nieszczęście, będzie mąż pijak. Rzuci się do ziarna — zamożny gospodarz, a załopocze skrzydłami i polecą, to już nic dobrego i hulaka.

Tu znowu rozpuszczają wosk i leją na wodę lub palą papier i na cieniu przyglądają się, co wyjdzie. Wyjdzie koń czy wóz — dobrze, będzie wesele. Czasem wyjdzie jakieś dziwadło — śmiechom i domysłom nie ma końca. Temu wypadnie ożenić się z wiedźmą na miotle, tamtej mąż będzie kominiarz i t. d.

Ale już północ. Po północy wszystkie wróżby — tylko marnowanie czasu. Więc dobranoć, dziewczęta. Jutro na „Jordanie“ opowiecie jedna drugiej, co się wam przyśniło lub wydarzyło w tę „Kreszczeńską noc“.

N. Szaszko-Chwoszczyńska kl. II

Wyspa Podbipięty.

Wieś Dolgie, pow. dziśnieński.

Dzień był pogodny. Złote promienie słońca odbijały się od spokojnej tafli wód jeziora Dołżańskiego. Od czasu do czasu dzikie kaczkę, spłoszone odgłosem wody, przelatywały nad naszymi głowami.

Wiosła z cichym pluskiem zanurzały się w wodę, by pchnąć łódkę naprzód, potem znów ukazywały się, jakby dla nabrania oddechu przed ponownym zanurzeniem się.

Czołno wolno posuwało się naprzód dążąc do wysepki Podbipięty. Po drodze mijaliśmy chaty, przy których wesoło bawiły się dzieci, dalej lasy... pola... aż w dali ujrzeliśmy kępę drzew na tle ciemnozielonego lasu szpilkowego. To był cel naszej podróży.

W miarę zbliżania się kępka wzrastała w dużą kępę, drzewa — w duże, potężne lipy i dęby. Już nasza łódka czubem wryła się w mielisty brzeg wysepki, zaraz też szybko wyskoczyliśmy. Wkrótce potem szliśmy wszyscy śliczną aleją lipową do kapliczki, którą tam podobno postawił Podbipięta dla Anusi Borzobohatej. Potężne, stare lipy zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Wydawało mi się, że drzewa te strzegą każdego kroku, każdego ruchu człowieka, który się odważył tam przyjść. Szłam więc spokojnie w skupieniu. Tak milcząc doszliśmy do kapliczki. Nie jest to już kapliczka, lecz raczej ruina po niej. Weszliśmy do środka. Na prawo w murze jest nieduże wgłębienie, tam chyba był ołtarz. Ściany są odrapane, gdzieniegdzie tylko przebija ją się jeszcze kolory malowideł, sufitu już wcale nie ma, podłoga zgniła, dach się zapada. Przez otwór w murze, w dolnej części przy wejściu zobaczyłam jakiś ciemny dół. Domyśliłam się, że są to jakieś lochy. Jakie zadanie one tu spełniały, nie wiem dokładnie, sądzę jednak, że były to grobowce.

Wychodziłam z przykrym uczuciem, że to wszystko tak się niszczy i nikt się nie stara temu zapobiec. Jeszcze raz obejrzelśmy kapliczkę z zewnątrz i poszliśmy dalej. Ujrzeliśmy jakieś rumowiska, były to szczątki pałacu... Patrząc na te gruzы widziałam jakby na jawie piękny pałac: z jednej strony był ganek, cały krył się w powodzi kwiatów jaśminu; widziałam wewnątrz: pokoje, sale, salony. A teraz pozostały tylko gruzы i szczątki fundamentów.

Trzeba było już wracać... Szliśmy wolno, pełni wrażeń, aleją lipową. Jeszcze raz obejrzałam się rzucając pożegnalne spojrzenie na gruzы pałacu Anusi Borzobohatej.

H. Rudominówna kl. III

Moje miasteczko.

W lipcu 1936 roku minęło 9 lat od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałam Łużki. Miałam wówczas lat 5, pieściono mnie i nazywano „bąkiem“. Nie przypuszczałam, że w tym miasteczku przejdę pierwszy etap nauki, pierwszy próg na drodze życiowej, że z Łużek pojadę do gimnazjum, do Dżisny.

Czasu spędzonego w Łużkach nie żałuję. Było mi tam dobrze: liczne i miłe koleżanki, w lecie plaża, w zimie huczne saneczkowanie się i łyżwiarstwo urozmaicały mi czas. W miarę podrastania ciekawiły mię Łużki swym wyglądem zewnętrznym i historią powstania. Łużki mają wygląd czystego, jak na stosunki kresowe, miasteczka. Przyczyniły się do tego zarówno starania władz, jak i zbudowanie przez szereg obywateli miasteczka, w szczególności podoficerów miejscowego baonu K. O. P., sporej ilości nowych domków, tworzących nową dzielnicę miasteczka od ulicy Wiejskiej i od wjazdu do Łużek ze strony Zalesia. Domki te dla jadącego od strony Głębokiego szerokim, sadzonym prastarymi brzożami, traktem, tworzą ładne tło krajobrazu i robią dodatnie wrażenie na pierwszym rzut oka.

Chlubą Łużek jest dość bogaty w rzeźby i malowidła kościoł, jak również park i brzegi rzeki Mniuty od mostu w górę do folwarku Fabianowa. Dla amatorów natury, fotografii i malarstwa w dzikich wąwozach, wysepkach, półwysepkach, stworzonych przez ostre zakręty rzeki, w bogatej roślinności, bujnie porastającej brzegi rzeki, można wynaleźć dużo tematów,

Miasteczko Łużki położone jest przy bardzo szerokim trakcie, obsadzonym w dwa rzędy brzożami, którym ongiś, w czasach świetnych dziejów Rzeczypospolitej, król polski Batory wiódł swe hufce na podbój Pskowa. I dlatego ten trakt zwie się i dziś traktem Batorego. Wiedzie on z Wilna wprost ku granicy Rzeczypospolitej, do Dżisny. Nie tylko zastępy Batorego szły tym traktem: przechodziły nim wojska szwedzkie w czasach walk, stoczonych z Moskwą, przechodziły nim Orły Napoleońskie, a z nimi waleczne legiony polskie na podbój potęgi moskiewskiej, a ostatnio, nie tak bardzo dawno, bo zaledwie przed kilkunastu laty, ziemię jego zrosiła krew żołnierzy odrodzonej Ojczyzny, wykuwających Jej wschodnie granice.

Dzieje tego miasteczka nie są bardzo stare: sięgają zaledwie połowy XVIII stulecia, kiedy kasztelan Żaba, ówczesny posiadacz klucza horodzieckiego, na terenach obfitych naówczas w małe łączki (stąd nazwa miasteczka z białoruska Łużki), założył miasteczko, sprowa-

dził księża pijarów, zbudował dla nich obecnie istniejący kościół, klasztor i założył kolegium, w którym kształciły się nie tylko dzieci okolicznej szlachty, lecz i zdolniejsze dzieci chłopskie i skąd daleko promieniowała oświata. Wychowankowie kolegium, wdzięczni swemu mecenasowi i założycielowi szkoły—kasztelanowi Żabie, ku jego wiecznej pamięci usypali wysoki kopiec, uwieńczony u szczytu figurą Ukrzyżowanego. Księża pijarzy niedługo przebywali w Łużkach: zaburcy podzielili Polskę, przyszły okres powstań. Księża rząd rosyjski usunął, klasztor i kolegium rozebrano tak doszczętnie, że nawet kamyczka nie zostało na pamiątkę, a materiał zużyto do zbudowania cerkwi...

Na zakończenie mogę dodać, że dla turysty, chcącego poznać północne Kresy, Łużki są godne zwiedzenia i ominąć ich nie wolno.

A. Urbanowiczówna kl. II

Wieczór zimowy na wsi.

Wiatr wieje w kominie i huczy. W lichej chacie przygasa światełko. Przy kominie zasiada stary, siwy jak gołąb, dziadus. Bierze fajkę do ust i pyka: pyku, pyku. Dym leci wysoko, dziadzio wąsy podkręca. Przy dziadku siadają dzieci, jego wnuczęta. Ubrane są ubogo, lecz twarze mają rumiane i uśmiechnięte. Dziadus zgarbiony i słabowity zaczyna opowiadać coś wnuczkom, a mianowicie o swoich latach dziecięcych. Dzieci słuchają bardzo uważnie. Lecz opowiadanie skończone, a więcej dziadus już nic nie wymyślił do powiedzenia wnuczkom. Dzieci proszą dziadusia o śmieszna bajkę. Dymek z fajki leci, a dziadus myśli. Już wreszcie wymyślił coś śmiesznego. Odłożył fajkę z ust i zaczyna mówić. Czoło dziadka rozpogodziło się, gdyż wie, że rozweseli wnuczków. Zaczyna powoli, lecz głośno i wyraźnie opowiadać.

„Iszou baj pa ścianie,
Nios siamiora dziecięj.
I dziacionku pa łapcionku,
I żanie i sabie.
Baić czy nie?”

Dzieci rozweselone proszą, żeby dziadek im to jeszcze raz powtórzył. I dziadek powtarza. Wreszcie, gdy to dzieciom dokuczy, mówią, że już dosyć. Więc dziadus odpowiada wnuczkom:

„Wy każecie szto nie,

A ja bać.

Iszou baj pa ścianie,

Nios siamiora dziecięj.

I dziacionku pa łapcionku,

I żanie i sabie.

A czy bać czy nie?“

Dzieci nic nie odpowiadają dziadusiowi. Dziadek już tego nie powtarza, lecz prosi teraz wnuczków o bajkę, ale częściej o deklamację.

Kto powie coś ładnego?—słychać głos dziadka.

Nikt.

Dziadek gniewa się, lecz wówczas ja wstaję zawstydzona, ale podniesionym głosem zaczynam mówić. Wszyscy podnieśli głowy i słuchają. Już zaczynam:

„Jesienny mrok, cichy dzień,

Na dworze pusto wszędzie,

Babusia bierze kąpiel swą

I przędzie, przędzie, przędzie.

Babusia stara wszystko wie,

Co było i co będzie,

Patrzą w nią wnuczki cały dzień,

A ona len swój przędzie, przędzie.“

Pamiętam dobrze, jak to mówiłam dziadkowi. Wszyscy bardzo uważnie słuchali. Gdy skończyłam, dziadek ucałował mię w czoło, a ja, jak nigdy, tak prędko ucałowałam go w rękę.

Tak spędziłam jeden wieczor na wsi.

W. Korzeniewska kl. I b

Preliminarz budżetowy

m. Dzisny na rok budżetowy 1937/1938

uchwalony przez Radę Miejską.

Wydatki zwyczajne:

Zarząd ogólny	13352 zł.
Majątek komunalny	1429 „
Splata długów	1800 „

Drogi i place publiczne	991 zł.
Oświata	9161 „
Kultura i sztuka	750 „
Zdrowie publiczne	3567 „
Opieka społeczna	5058 „
Popieranie rolnictwa	3521 „
Bezpieczeństwo publiczne	4076 „
Różne	469 „
<hr/>	
Razem	44174 zł.

Wydatki nadzwyczajne:

Budowa straganów	660 zł.
<hr/>	
Ogółem wydatków	44834 zł.

Dochody zwyczajne:

Majątek komunalny	13295 zł.
Przedsiębiorstwa komunalne	2050 „
Subwencje i dotacje	6847 „
Zwroty	1594 „
Opłaty administracyjne	4666 „
Udział w podatkach państwowych	6080 „
Podatki samoistne	900 „
Różne	7 „
<hr/>	
Ogółem dochodów	44834 zł.

Jak się podróżuje w xx wieku.

Toż dopiero była podróż, podróż z pamiętnymi przygodami i osobliwymi emocjami! Mając ją za sobą doszedłem do wniosku, że chorzy na spleen, łowcy przygód i żądni niecodziennych wrażeń turyści nie powinni się wcale udawać do Afryki. Afryka bowiem ani się umywa do pewnego zakątka Polski „B”. „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie“... Czy wiecie, że

posiadamy rezerwat osobliwości? Amatorzy egzotyki! Wracajcie z Afryki i przybywajcie do nas! Na drodze z Głębokiego do Dżisny będziecie mieli okazję poznać stosunki, panujące w Kongo w wieku XVIII. Co mnie się na tej drodze przyrafiło, opowiem wiernie od a do z.

Dzień, w którym nas zwolniono na święta Bożego Narodzenia, wstał jakiś niewyraźny, pochmurny, mglisty i wilgotny. Zamarznięte słynne błoto dziśnieńskie odtajało i znowu zalało oślizgłą masą ulicę. Nie zważając jednak na pogodę tłum przy przystanku autobusowym ciągle wzrastał. Kogoż tam nie było? Profesorowie z pękatymi walizkami, sztubacy z małymi paczkami w ręku, ze świadectwami w kieszeni i dwójki na świadectwach, kupcy i t. d. i t. d. Większość jednak tłumu składała się z gapiów, trzeba bowiem wiedzieć, że każdorazowy przyjazd i odjazd autobusu wywołuje w Dziśnie wielką sensację i ściąga tłumy widzów. Cała więc Dżisna wyległa owego dnia na ulicę Piłsudskiego. Autobus miał przybyć o godz. 12-ej, minęła jednak 1, nadeszła 2, autobus powinien był już wyruszyć w drogę powrotną, nie było go jednak dotychczas. Tłum czekał cierpliwie, takie spóźnienia bowiem zdarzają się dość często. Minęła 3-cia. Wskazówki zegarka posuwały się powoli. Było zimno w nogi, chciało się jeść, lecz odejść było niebezpiecznie: autobus mógł lada chwila nadjechać i można było pozostać bez miejsca. Trwaliśmy na „posturunku“ błogosławiąc pogodę, Dziśnę, autobus. Raptem nastąpiło ożywienie: jakiś uczeń wrzasnął na całe gardło, że autobus jedzie. Wszyscy rzucili się naprzód wyteżywszy wzrok w stronę mostu, gdzie po chwili ukazała się chłopska furmanka. Minęła 4. Ludzi ogarnął niepokój. Tłum spoglądał ze złośliwością i ironią na niedoszłych pasażerów. My, sztubacy, nie traciliśmy pogody ducha. Humory kwitły jak nigdy, dowcipy sypały się jak z rękawa. Nas niepokoiła rzecz innego rodzaju: autobus mógł pomieścić około 20-u osób, czekało zaś bez mała sto. Starsi zawsze się urządzą ale co z nami będzie? Kilkudziesięciu uczniów, pochodzących z Łużek, wynajęło jakiś archaiczny, zabytkowy autobus i puściło się w drogę. Zostało nas jeszcze kilkunastu uczniów, wybierających się do Głębokiego.

— Marzenie ściętej głowy, trzeba będzie piechotą pójść.

— Mam plan. Musimy zdobyć autobus, weźmiemy go szturmem. Ilu nas jest? Dwunastu? Więc uwaga! Jak tylko drynda nadjedzie, weźmiemy się wszyscy pod ręce i otoczmy wejście do autobusu. Ty chwycisz się za drzwiczki, a ty wbiegniesz na schodki! Nikogo nie puścimy, aż sami się ulokujemy. Paczki trzeba złożyć w jedno miejsce, podadzą nam je koledzy. Zgoda chłopcy?!

-- Zgoda! Niech żyje!

-- A belfrów wpuścimy?...

-- Wykluczone. Otrzymałem 2 dwóje.

-- A ja 3 dwóje.

-- No, nie wypada, belfer, chociaż ludożerca, to jednak także człowiek...

Po krótkiej dyskusji stanęło na tym, że zarezerwujemy dla belfrów miejsca.

Skończyliśmy już ostatnie przygotowania do ataku, gdy doleciał nas warkot motoru, i nareszcie — o godz. 5-ej — nadjechał sławetny autobus. Jeszcze nie stanął, a już rzuciliśmy się naprzód i przypuściliśmy, przewidziany w najdrobniejszych szczegółach, szturm do jego wnętrza. Fortes fortuna iuvat... Zwyciężyliśmy... Zwycięstwo zostało jednak okupione licznymi guzami. Popychali nas z tyłu, walili jak w bębry, nie ustępowaliśmy jednak, trzymaliśmy się kurczowo drzwiczek, nikogośmy nie puszczali i parliśmy wciąż naprzód, wciąż naprzód! Ostatecznie usadowiło się w autobusie kilku profesorów, kilkunas-tu uczniów i kilku „cywilów“. Usłużni koledzy podali nam nasze paczki, wyjęliśmy zapasy i zabraliśmy się do jedzenia, które nam się sprawiedliwie należało po tak długim czekaniu i uciążliwym wsiadaniu...

Po godzinnym postoju, podczas którego nie opuszczaliśmy zdobytych miejsc, zawarczał motor, triumfalny nasz okrzyk wstrząsnął szybami, i autobus zwolna ruszył z miejsca. Nie minęliśmy jeszcze rogatek miasta, a konduktor już się zabrał z podejrzanym pośpiechem do ściągania opłaty. Złe przeczucie nas tknęło, lecz za późno już było na żale. Wyjmowaliśmy portmonetki i płaciliśmy. Wydobicie portmonetki i odliczenie pieniędzy było przy tłoku, panującym w autobusie, prawie niemożliwością. Lecz konduktor nalegał. Jeden z nas nie mając miejsca siedzącego stał i trzymał się kurczowo prętów, zabezpieczających przed upadkiem. Wyjmując pieniądze puścił pręty, autobus akurat podskoczył na wyboju, i chłopak wyrznął z kawalerską fantazją i rozmachem, godnym lepszej sprawy, głową w szybę. Posypały się okruchy szkła...

— Te, głowa wytrzymała?

— Oczywiście. Calusienka.

— A szkoda!

— Czego?

— No, szyby oczywiście. Warta trzy złote.

— Głowa więcej warta..

Wypadek ten rozwiązał języki. Posypały się żarciki i docinki, z docinków przeszliśmy do anegdotek, a z tych do piosenek. Bohater

chwili zaśpiewał schrypniętym dyszkantem jakąś „arię“ (podobno po serbsku). Po kolei popisywali się inni. Autobus rozbrzmiewał śmiechem i pieśnią. Nawet „starszyzna“ uśmiechała się pod wąsem. Zapomnieliśmy na chwilę o zaduchu, panującym w autobusie, o starym, rozklekotanym, trzeszczącym gracie, noszącym szumną nazwę „autobusu“, o okropnej drodze i wilgotnej, zimnej nocy. Stłoczeni jak śledzie w beczce, nie mogąc się ruszać nie straciliśmy rezonu, i czas szybko płynął. Aż nagle, na 6-ym kilometrze... autobus zaczął zwalniać biegu, motor pracował, co prawda, „całą parą“, lecz wóz posuwał się coraz wolniej, aż stanął..

— Siedzi po osie w błocie, wysiadać!

Otworzyłem drzwi i wysiadłem pierwszy. Stawiając ostrożnie kroki uczulem nagle, że tracę grunt pod stopami. Grząskie, lepkie błoto rozstępowało się pode mną i nogi zanurzały się w obrzydliwej glinie. Wyciągnąłem lewą nogę — ugrzęzła prawa, tę wyciągając — zostawiłem kalosz, szukając go — zgubiłem drugi.. Stałem, schyliłem się, zakasawszy rękawy zanurzyłem ręce i po krótkich poszukiwaniach wyłowilem zgubę.. Trzymając kalosze w ręku, wysoko podnosząc kolana biegiem przebyłem przestrzeń, dzielącą mnie od rowu przydrożnego, z rozpędem przeskoczyłem rów i bezpiecznie stanąłem na suchym gruncie. Smutny los nie ominął i współtowarzyszy. Noc rozbrzmiewała stękaniem, jękami biednych męczenników dzisiejszych środków lokomocji. Po chwili już całe towarzystwo stało w bezpiecznym miejscu. Pusty śmiech brał człowieka, gdy się patrzyło na umurusane do pasa postaci.

— Cha, cha, cha! wyglądamy elegancko!

— Jak nieboskie stworzenia.

— Rety, moje nowe kalosze!

— A moje spodnie. Żądam odszkodowania, Rozkład jazdy nie przewiduje wcale w tym miejscu przystanku.

Uczniom wrócił już dobry humor, starsi byli jednak zgębieni. Zbierało im się na płacz.

— Brrr, zimno.

— Boże, już mam katar!

— Co to będzie? Mokro w nogi.

— Niesłychane rzeczy, co to za porządki?

— Matko Boska! Nie wytrzymam!

Szofer tymczasem znowu puścił motor. Zabłyśły reflektory. W ich świetle zobaczyliśmy jakąś, o kilkadziesiąt metrów przed nami stojącą, maszynę. Okazało się, że był to autobus, który przed

nami wyjechał do Łużek. Ugrzązł w błocie i nie mógł ruszyć z miejsca. Większość pasażerów poszła na piechotę, kilku zaś postanowiło przenocować w aucie, ułożyli się na siedzeniach i usiłowali zasnąć.

Nasz szofer postanowił spróbować szczęścia. Uruchomił maszynę, cofnął ją do tyłu, dał pełnego gazu i z rozpędem uderzył naprzód. Posunął się o pół metra... Znowu się cofnął i powtórzył zabieg... z nikłym, niestety, skutkiem. Czynił tak kilkakrotnie. Z mozołem zdobywaliśmy centymetr za centymetrem... Warkot motoru stał się ogłuszający, ścianki wozu dygotały od wysiłku tłoków, tryby i koła pracowały z największym wyęzieniem, nasze pocziwe błoto dziśnieńskie jednak nic sobie z tego nie robiło.

Wśród pasażerów nastąpiła rozterka.

— Co to będzie? To nie żarty.

— Do pociągu spóźniliśmy się, na drugi już także nie zdążymy.

— Et, nie jest tak źle. Podniósł się wiatr. Jak osuszy błoto — to pojedziemy...

— Kawalerze, żart nie na miejscu. Młodej głowy żarty się trzymają. Tu trzeba radzić.

— Uważam, że trzeba zawrócić do Dżisny.

— Co? Cofnąć się? Wstyd!

— A ja wolę nocować w łóżku, niż w szczerym polu.

— Wracać!

— Wykluczone! Kto chce, niech wraca. My pojedziemy naprzód.

Pasażerowie podzielili się na dwie grupy. Jedna, złożona wyłączenie ze starszych, odstraszona doznany mi przygodami i zachęca na perspektywę ciepłego łóżka, wielkim głosem domagała się powrotu do Dżisny; drugą, sprzeciwiającą się temu, grupę tworzyli uczniowie. Dowodziliśmy, że na takiej drodze zawrócić niesposób, że najgorsze przebyliśmy, a dalej pójdzie już lepiej, odwoływaliśmy się do ambicji.

— Wstyd, hańba zawracać z drogi!

— Wygwizdzą nas w Dżisnie...

Nic jednak nie skutkowało — starzy upierali się przy swoim. Otoczyli konduktora i szeptem o czymś rozprawiali. Z pojedynczych wyrazów, które nas dolatywały, zmiarkowaliśmy, że w grę wchodzi brzęczące argumenty...

...Wracać... Dżisna... bilety... nie żądamy zwrotu pieniędzy...

— Chłopcy, krucho z nami. Konduktor trzyma z nimi, więc chodźmy do szofera...

Po chwili staliśmy już wszyscy przy autobusie. Szofer majstrował coś przy motorze i kłął na czym świat stoi.

— Proszę pana, co z nami będzie? Tam starzy konduktora „nakręcają“. W panu nasza nadzieja! Wracać nie możemy, pieniędzy nie mamy, kwater również.. Pan z nami, prawda?

— Dobra, chłopaki! Pojedziemy. Pomóżcie mi tylko. Popychajcie trochę dryndę, wyciągniemy ją, i jazda!

Urochomił motor.

— Niech żyje! Naprzód! Pchać!

— Rrrrazem! Społem!

— „Młodości, ty nad poziomy wylatuj..“

— Hurrra, Hurrra!

Zgubiłem znowu kalosze, wyciągnąłem je z błota i wrzuciłem do autobusu. Nie zwracając uwagi na oburzone głosy „starszego społeczeństwa“ ani na rozmokłą glinę pchaliśmy z zapalnym wóz. Dla zachęty krzyczeliśmy w niebogłosy. Maszyna nie ruszała... Spod rozpędzonych, kręcących się w rzadkiej glinie, tylnych kół tryskało błoto strumieniem.

— Naprzód, wiwat!

Autobus nagle silnie drgnął i wśród triumfalnych okrzyków ruszył z miejsca.

— Pchać! Pchać!

Pędziliśmy jak zwariowani pchając z całej siły.

Po chwili mineliśmy stojący na drodze autobus łużecki. Maszyna nabierała szybkości i posuwała się już bez naszej pomocy. Błoto dziśnieńskie zostało pokonane! W suchszym miejscu szofer zatrzymał wóz, wsiedliśmy i odpoczywaliśmy po ciężkim znoju. A starzy, z nosami spuszczoneymi na kwintę, przepawali się tymczasem przez błoto .. Drwiliśmy z nich.

— No, trzeba młodych słuchać?

— Świat by inaczej wyglądał, gdyby nas słuchano.

Ruszyliśmy naprzód. Poprzedni wesoły nastrój prysł jednak bez śladu.

Żarty wietrzeją z głowy, gdy mokre i do kolan w glinie umazane nogi marzną i sztywnieją.

Nie myślcie jednak, że na tym kończą się nasze przygody. Powyższa historia kilkakrotnie się powtórzyła: autobus zatrzymywał się, wysiadaliśmy, pchaliśmy grzęznąc w błocie... Niesamowita noc...

O godzinie 2-giej z rana przybyliśmy do Głębokiego. Udałem się do hotelu. Otworzyła mi zaspana kobieta. Rzuciła okiem na moje nogi i... przerażona zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

— Wszystkie pokoje zajęte — doleciał mię jej przytłumiony głos. Poszedłem do innego hotelu, gdzie bez żadnych już komplikacji

dostałem pokój. I tu się kończą dzieje jednej podróży.

Szybko minęły trzy tygodnie ferii i trzeba było znowu powrócić do Dżisny. W Głębokiem zebrało się prawie w komplecie nasze dawne towarzystwo.

Droga powrotna .. Słabo mi się robi, gdy ją sobie przypominam! Gdybym ją dokładnie i szczegółowo opisał, nie starczyłoby miejsca w „Naszym Głosie“ i może cierpliwości u czytelnika. Opiszę więc jej dzieje krótko i zwięźle.

Jeden dzień czekaliśmy nadaremnie na autobus. Dwie maszyny były w remoncie, trzecia stała uszkodzona koło Dżisny, a czwarta w Łużkach. Niektórzy z czekających puścili się w 70-kilometrową drogę furmankami. Zrobili może najlepiej. Większość jednak nocowała w Głębokiem cierpliwie czekając. Nazajutrz o 12-tej w południe nadjechał autobus z Łużek.

Do autobusu przyjęci zostali tylko jadący „służbowo“, a więc i my, sztubacy. Jechaliśmy powoli. Droga była fatalna. Błoto, co prawda, zamarzło, lecz gruda i wyboje utrudniały jazdę. Piętnaście km. ujechaliśmy jednak szczęśliwie.

Wtem rozległ się trzask. Autobus gwałtownie przechylił się na prawą stronę. Wśród histerycznych krzyków pasażerek zatrzymał szofer motor. Wysiedliśmy.

Autobus stał na trzech kołach — czwarte leżało o kilkanaście metrów w tyle. Okazało się, że pękła oś. Na szczęście znalazła się oś zapasowa. Szofer zabrał się do naprawy. Mimo mrozu pot strumieniem lał się mu z czoła. Dwie godziny trwała reperacja. Nareszcie kazano nam wsiadać. Ruszyliśmy. W spokoju przejechaliśmy 1/2 km., lecz oto ponownie nastąpiła katastrofa — znowu pękła oś.

— Wysiadać! Dalej nie jedziemy!

Cóż było robić? Wziąwszy walizki udaliśmy się do najbliższej wsi po furmanki. Wzbudziliśmy tam niebywałą sensację. Na jedyną ulicę wylegli wszyscy mieszkańcy wioski. Po długich poszukiwaniach i jeszcze dłuższych targach wynajęliśmy furmanki.

Noc już zapadła, gdy puściliśmy się w przeszło 50-kilometrową drogę. Opisywać jej nie warto, wszyscy bowiem mieszkańcy Wileńszczyzny z własnego doświadczenia wiedzą, jak wygląda taka podróż. Koń wlecze się noga za nogą, gwiazdzista noc, siarczysty mróz, zimno i t. d. i t. d. Co kilkanaście kilometrów robiliśmy krótkie popasy zatrzymując się w brudnych, rozwalonych karczmach.

O godzinie 6-tej z rana przybyliśmy wyczerpani i zziębnięci

do Dżisny. Podróż na przestrzeni 70-u klm. trwała 18 godzin.

Wszyscy muszą przyznać, że najdziwniejsze w tych przygodach jest to, iż wydarzyły się one nie w Afryce ani w Azji, lecz w sercu Europy...

B. Szubicz kl. VIII

Koncert w Dżisnie.

Często przychodzi nam na myśl, że Bóg i ludzie zapomnieli o zapadłej dziurze, noszącej historyczną nazwę Dżisny. Kogoż może obchodzić nasz sławetny gród, położony na najdalejszych kresach Rzeczypospolitej, nad samą granicą bolszewicką, o 37 km. od najbliższej stacji kolejowej? Niedawno mieliśmy jednak wzruszający dowód, że Bog i dobrzy ludzie pamiętają jeszcze o nas. Staraniem Organizacji Ruchu Muzycznego przybyli do Dżisny na jeden koncert artyści stołeczni: p. Aniela Szlemińska (sopran), p. Kazimierz Koszeliński (skrzypce) i prof. Bronisław Rutkowski (akompaniament). Nie odstraszyły ich trudności komunikacyjne, znieśli zapewne wiele niewygód, nim się do Dżisny dostali, i może dlatego właśnie całe społeczeństwo dżisnieńskie, jakby chcąc im wynagrodzić poniesione ofiary, starało się o jak najbardziej gościnne i serdeczne przyjęcie. Koncert odbył się dn. 12 II. w przepelnionej po brzegi sali „Domu Ludowego.“ Artyści zostali przyjęci owacyjnie. Nazajutrz została dzięki ich uprzejmości zorganizowana audycja dla szkoły powszechnej i dla gimnazjum. Złożyła się na nią muzyka polska i niemiecka.

Podobny koncert był dla większości z nas zupełną nowością. Słuchamy, co prawda, od czasu do czasu audycji szkolnych przez radio, nie jest to jednak to samo. Muzyka słyszana z estrady, gdy się wykonawców ma przed oczyma, działa bezpośrednio i tym samym daleko silniej niż muzyka, płynąca z głośnika radiowego. Utwory Moniuszki, Szopena, Wieniawskiego, Schuberta, Mendelsohna i inn. wywarły na słuchaczy ogromne wrażenie. Audycja jeszcze raz wykazała, jak wielkie zrozumienie dla muzyki posiada nasza młodzież. Koncertu słuchano z natężoną uwagą, w głębokim skupieniu, widać było, że czar muzyki potężnie oddziaływa na dusze młodych słuchaczy.

Artystów przyjęto entuzjastycznie, co im się słusznie należało, koncert bowiem stał na wysokim poziomie. P. Szlemińska, śpiewaczka o wielkiej kulturze muzycznej, posiada silny, dźwięczny głos, o miękkim i ciepłym odcieniu lirycznym. Podziwu godna jest jej

doskonała technika koloraturowa, bogata skala tonów, łatwość brania najwyższych nut. Najbardziej podobała się młodzieży liryczna, nastrojowa „Serenada“ Schuberta, „Prząśniczka“ Moniuszki, brawurowo wykonana „Karuzela“ Nawrockiego oraz „Biedny Piotr“ Schumanna. P. Koszeliński zademonstrował również dobrą technikę, piękny ton, jednym słowem — bardzo ładną grę. Podobała się bardzo przepiękna „Kołysanka“ Fr. Schuberta, „Pieśń bez słów“ Mendelsohna, „Pieśń polska“ Wieniawskiego i „Pszczółka“ Schuberta. Trzeba jednak zaznaczyć, że do uczuć młodzieży przemówiły raczej zrozumiałe pieśni, niż trudne skrzypcowe utwory.

Koncert ten długo zostanie w naszej pamięci. Za miłe i piękne chwile składamy artystom szczerze „Bóg zapłać“ i serdecznie zapraszamy ponownie do Dżizny!

B. S. kl. VIII

„Antygona“ na scenie dzisiejskiej.

Słuszne jest powiedzenie, że najsilniej na człowieka działa słowo, poparte czynem. Jako przykład wysunąć można teatr. Znaczenie teatru jest coraz więcej doceniane. Cel teatru — propagowanie wartości kulturalnych w formie artystycznej, jest znakomicie osiągnięte. Liczna frekwencja publiczności, w małych, oddalonych od świata kulturalnego, miasteczkach, którą przyciąga scena, świadczy o znakomitym spełnianiu roli przez nasze przedstawienia amatorskie. Dlatego też nie można pominąć milczeniem działalności teatru szkolnego w naszym gimnazjum.

W dwóch ostatnich latach wystawiono: „Legendę Wyspiańskiego“, „Kordiana“ Słowackiego, „Mieszczanina szlachcicem“ Moliere oraz kilka sztuk współczesnych.

W b. r. szkolnym wystawiono dnia 12 grudnia „Antygonę“ Sofoklesa. Po raz pierwszy na deskach sceny dzisiejskiej ukazała się sztuka starożytna. Przedstawienie poprzedził referat kol. B. Szubicza (VIII), zaznajamiający licznie zebraną publiczność z teatrem greckim, współczesnym Sofoklesowi. Po referacie kurtyna zwołna podnosi się i oczom publiczności ukazuje się fronton pałacu władcy tebańskiego Kreona. Efekty świetlne oraz ślicznie wykonane dekoracje (przez kol. Apicionka, Kożana i Dziezmieszkę) wywołują odpowiedni nastrój, który potęguje gra aktorów. Śpizowe głosy chóru starców, który przez cały bieg akcji

przebywa na scenie, grzmia dziwną jakąś mocą przejmując widza zgrozą. B. dobrze wypadły sceny: wróżba ślepego Terezasza (kol. Awłas) oraz scena końcowa, kiedy tyran Kreon (p. prof. Wołoszczuk) po samobójstwie syna Hajmona i po śmierci żony pozostaje sam zrozpaczony i zdruzgotany. Kurtyna zapada przy największym napięciu widzów.

Bilansując ogólnie fakt wystawienia „Antygony“ należy podkreślić b. sumienne przygotowanie tej sztuki. Kilkadziesiąt prób, trwających trzy miesiące (wrzesień, październik, listopad), wykonanie dekoracji i kostiumów świadczą o wysiłku, na jaki zdobyła się młodzież pod kierownictwem p. prof. Wołoszczuka, aby w ten sposób zadokumentować o pracy kulturalnej na najdalszych rubieżach naszej Ojczyzny.

Na zakończenie entuzjastyczne: „Szczęść Boże“ w dalszym rozwoju sekcji dramatycznej.

J. B. kl. VIII

Zakładamy muzeum regionalne.

Piękna myśl założenia muzeum regionalnego przy naszym gimnazjum powstała, niestety, nie w naszych „mądrych główkach“. Dużo pracy, wysiłku i cierpliwości musiano zużyć, żeby rozjaśniło się narzeczcie w naszych łepetynach, tak że wreszcie zrozumieliśmy doniosłość sprawy. Dopiero otworzyły się nam oczy! Nauczono nas patrzeć, poznawać i kochać wszystko, co nam bliskie i rodzime. Dotychczas bowiem tylko czytaliśmy o wielkich muzeach i marzyliśmy o zwiedzeniu ich, a obok naszych bogactw kulturalnych przechodziliśmy nie dostrzegając ich. Patrzyliśmy nie widząc, słuchaliśmy nie słysząc, bo zawsze tak bywa: „Cudze chwalimy, swego nie znamy, sami nie wiemy, co posiadamy.“

Mamy już muzeum zapoczątkowane. Teraz już pójdzie łatwo. Trzeba tylko mieć zapał, a nie słomiany ogień i nie żałować trudu, więc „razem, młodzi przyjaciele!“! Zabieramy się do pracy! Jak mrówki do mrowiska będziemy wyszukiwać i znosić zbiory do naszego muzeum. Przy dobrych chęciach i pewnym wysiłku zdobędziemy ich niemało. Każdy musi przyłożyć swą cegielkę, a zbudujemy gmach wspaniały. Będziemy dumni z naszego muzeum. Będzie to przecież nasze dzieło, nasz przybytek kultury, nasza historia. Wszystko przemienie, umrze lub zginie, a nasze muzeum zostanie i będzie świadczyć o nas, o naszym kraju i życiu — tym, którzy przyjdą po nas.

B. Chwoszczyński kl. I a

Nowości naszej biblioteki.

Morcinek G.	„Ludzie są dobrzy“.
„	„Po kamienistej drodze“.
„	„Gołębie na dachu“.
Nowakowski Z.	„Złotówka Manoela“.
Choynowski P.	„W młodych oczach“.
Podoski J.	„Rycerze z K. O. P“.
Curwood J. O.	„Dziewczyna z poza szlaku“.
Kossak-Szczucka Z.	„Krzyżowcy“ t. 4.
„	„Złota wolność“ t. 2.
Prus B.	„Emancypantki“ t. 4.
Gojawczyńska P.	„Powszedni dzień“.
Galsworthy J.	„Za rzeką“.
Ammers-Küller J.	„Kobiety z rodu Coornveltów“.
Wiktor J.	„Orka na ugorze“.
Adamczewski St.	„Stefan Żeromski“.
Wojciechowski K.	„Bolesław Prus“.
Bystron J.	„Nazwiska polskie“.
Cepnik H.	„Edward Rydz-Śmigły“.
Stępowski J.	„Gdynia“.
	„Muzea regionalne, ich cele i zadania“.
	„Ruch regionalistyczny w Europie“ pod red. A. Patkowskiego t. 2.
Orzeszkowa E.	Listy t. I „Dwugłószy“.

Kalendarz reportera.

27.XI.36. Zebranie Koła Literackiego.

Na zebraniu tym odbył się sąd literacki nad Konradem Wallenrodem. Temat wzbudził wielkie zainteresowanie, o czym świadczyła ożywiona dyskusja. Trudną rolę oskarżania Konrada Wallenroda znakomicie spełniał kol. Szubicz (VIII). Również dobrze była prowadzona obrona przez kol. Huszcę (VIII) i Sosnowika (VII). Poza oskarżycielem i obrońcą Konrada zabierali głos liczni członkowie Koła.

28.XI.36. Odbyła się w świetlicy wieczornica harcerska.

- 29.XI.36. Harcerki zorganizowały uroczysty wieczór w rocznicę powstania listopadowego.
- 12.XII.36. Sekcja dramatyczna U. S. W. wystawiła „Antygone” Sofoklesa.
- 19.XII.36 Obchód 400-lecia urodzin ks. Piotra Skargi.

Na program złożyły się:

- 1) Referat kol. Sosnowika oks. Piotrze Skardze.
 - 2) Wiersz Kasprówicza „Rzadko na moich wargach...” — deklamacja kol. Sinicówny.
 - 3) Fragment z II kazania Skargi o miłości Ojczyzny — deklamacja kol. A własa na tle wyświetlonego obrazu Matejki.
 - 4) Psalm Kochanowskiego z muzyką Gomółki.
 - 5) Duma—nieznanego kompozytora XVI w.
 - 6) Wyjątek z sonaty Szarzyńskiego.
- 19.XII.36. Spotkanie św. Mikołaja. Św. Mikołaj (kol. Wyszatko) był w świetnym humorze i rozdał moc podarunków.
- 20.XII.36. Oplatek harcerski i sodalicyjny.
- 21.XII.36. Redakcja „Naszego Głosu” ofiarowała 50 numerów swego pisma na gwiazdkę dla szkół powszechnych.
- 22.I.37. Uczczenie rocznicy powstania styczniowego w ramach świetlicy.
- 23.I.37. Kostiumowa zabawa taneczna, urządzona staraniem U. S. W. Zabawa przy wydatnej pomocy Komitetu Rodzicielskiego wypadła dobrze. Bufet był bezpłatny.
- 10.II.37. Akademia w „Domu Ludowym” urządzona przez gimnazjalne Koło L. M. i K. dla młodzieży i starszego społeczeństwa.
- 12.II.37. Koncert artystów warszawskich: prof. B. Rutkowskiego, A. Szlemińskiej i K. Koszelińskiego w „Domu Ludowym”. W programie polska muzyka współczesna.
- 13.II.37. Ci sami artyści dali koncert dla młodzieży gimnazjalnej. Program: narodowa muzyka polska i niemiecka. Jest to występ, jakiego nie słyszała dotąd Dzisna. W związku z tym podajemy krótki życiorys prof. Bronisława Rutkowskiego, który lata młodzięcze spędził w Dziśnie.

Prof. B. Rutkowski urodził się w Komajach pow. święciańskiego. Przez pewien czas przebywał w Dziśnie. Gimnazjum i konserwatorium skończył w Piotrogradzie,

Uniwersytet w Wilnie, Akademię Muzyczną w Paryżu. Od 1925 r. jest profesorem Konserwatorium Muzycznego w Warszawie, założycielem i prezesem Stowarzyszenia Dawnej Muzyki Polskiej, kompozytorem utworów wokalnych. Jest znany z radia i entuzjastycznie przyjmowany w całej Polsce.

18.III.37. Samorząd kl. III. im. Prezydenta Ignacego Mościckiego urządził w świetlicy uroczysty obchód Jego Imienin.

Kronika z Wilna.

Na inaugurację drugiego pięciolecia Koła Akademików Dziśnian U. S. B.

Pięć lat minęło od chwili, gdy Koło Akademików Dziśnian rozpoczęło swoją działalność na terenie U. S. B. jako organizacja akademicka, która skupiała i skupia prawie wyłącznie absolwentów gimnazjum dziśnieńkiego.

Cel, dla którego zawiązano Koło, jest naprawdę wzniosły i szlachetny: praca nie tylko na terenie akademickim, ale co najważniejsze—praca na tym terenie, z którego pochodzimy. Teren ten bowiem nie może być nam obojętny, jesteśmy z nim ściśle duchowo związani, jako wychowankowie mogliśmy się lepiej żyć i poznać całą rzeczywistość i potrzeby jego. Ten, kto zrozumiał ideę i cel K.A.D., znalazł się lub znajdzie się jeszcze w jego szeregach.

Praca w tym pierwszym pięcioleciu nie była może zbyt widoczna, była bowiem bardziej wewnętrzna, organizacyjna, była jak gdyby szkołą doświadczalną, która wskazywała, jak na przyszłość należy pracować i w jakim iść kierunku.

Wszyscy rozumieją, w jakich warunkach pracuje dziś akademik. Rok akademicki przestał już być „rokiem odpoczynkowym“ i zdobywaniem wrażeń ludzi dojrzałych, a stał się rokiem pracy, rokiem wysiłku, „by nie pozostać“. W tym jednak ogromie pracy naukowej starali się dziśnianie wynaleźć czas na sprawy wielkie i szlachetne, gdzie praca również była wdzięczna i przyjemna: praca w terenie, z którego pochodzimy i na U.S.B.

Tu specjalnie muszę podkreślić miły stosunek starszego społeczeństwa, które nigdy nie odmawiało nam swej współpracy i przychodziło zawsze z pomocą w naszych poczynaniach.

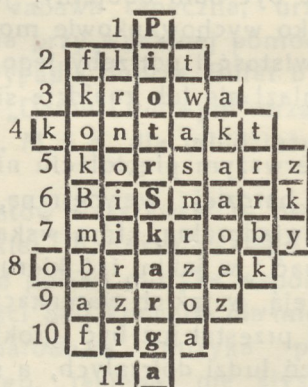
Specjalnie muszę podziękować Kuratorowi K.A.D., Panu Dziekanowi Tadeuszowi Czeżowskiemu, który od samego początku istnienia Koła żywo interesuje się naszymi sprawami i naszym terenem—za Jego życzliwą i naprawdę troskliwą opiekę.

Dziś już posiadamy pewne przygotowanie i pewną rutynę i możemy bardziej aktywnie wystąpić w terenie. Praca rozległa i wielka. Wystarczy wymienić na razie akcję kulturalno-oświatową i towarzyską. Jednak poczynania nasze wymagają dalszej współpracy i pomocy starszego społeczeństwa.

Apeluję więc do Was, Starsze Społeczeństwo: nie odmawiajcie nam nigdy pomocy. Jeśli obdarzaliście nas swoją sympatią i przyjaźnią, to niech ta nić przyjaźni w tym drugim pięcioleciu jeszcze bardziej się zacieśni. Nam nie zabraknie młodzieńczych zapalów. Będziemy zawsze pracowali dla dobra Rzeczypospolitej, a teren nasz musi dorównać innym terenom.

Władysław Hryniewicz Prezes K.A.D.U.S.B.

Rozwiązanie krzyżówki 1.



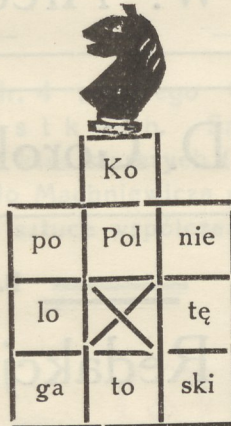
P i o t r S k a r g a .

Rozwiązanie krzyżówki 2.



Armenja (według dawnej pisowni).

K o n i k ó w k a.



Zaczynając od zgłoski „Ko“ ruchem konika szachowego odczytać aktualne obecnie zdanie.

E. Zabięto kl. III

K r y p t o n i m y.

Z niżej podanych wizytówek odczytać zawód tych panów.

1.

L. Kirno.

2.

Z. Kaler.

3.

P. Zaretka.

4.

W. Arecki.

5.

D. Gorokin.

B. Sosnowik kl. III

Odpowiedzi Redakcji.

W. R. „Na marginesie sportu i sportowości tutaj“ — artykuł ze względu na swą treść mógłby znaleźć się w N 2, „N. Gł.“, lecz został doręczony za późno.

A. B. „Mokra przygoda“ — może zamieścimy w odpowiedniej porze roku.

O. B. Krzyżówka jest zbyt łatwa, poza tym nieciekawy i niedbały rysunek. Figura powinna zaciekawiać dobrze pomyślana budową.

J. M. „Wigilia Św. Andrzeja w pow. dziśnieńskim w miasteczku Ziabki“ — ciekawe, ale za późno doręczono, do tego numeru już nieaktualne.

O. M. „Andrzejki“ — patrz wyżej J. M.

R. Ch. „Wycieczka kajakiem na jeziora brasławskie“ — czy teraz o tym pisać?

W. S. „Już się zbliża dzień radosny“ — nie trzeba myśleć, że napisanie wiersza jest rzeczą łatwą.

M. L. „Pomoc zimowa“ — uwagę Autora pochłoneły rymy, a tymczasem ucierpiał styl i sens.

A. K. „Która z postaci „Trylogii“ Sienkiewicza jest mi najbliższa i dlaczego?“ — zbyt pobieżne potraktowanie tematu.

E. S. „Pierwsze dni szkolne“ — temat w tej chwili nieaktualny.

J. R. „Druja“ — zbyt urywany styl sprawia przykre, niepokojące wrażenie na czytelniku. Prosimy o ponowne opracowanie.

--- --- ---

Do wszystkich. Redakcja prosi współpracowników o podawanie swych nazwisk (prace anonimowe odrzucamy), czytelne pismo, zachowanie marginesu i porządkny wygląd rękopisów.

--- --- ---

Nasze konkursy. Nr. 4 „Naszego Głosu“ ogłasza konkurs dla wszystkich. Szczególnie cenna nagroda przeznaczona jest dla klas starszych (IV, VII, VIII). Jest nią piękne, ilustrowane dzieło Machniewicza p. t. „Estetyka życia codziennego“, traktujące o sztuce współczesnej.

—————



Merkita.

Wielokulturowa, pow. pastora.
oprac. Aleksander Gysztka.
M.C. Kł. M.

A single staff of music in 4/4 time, featuring a treble clef and a key signature of one flat. The melody consists of several measures of quarter and eighth notes.

1) Ma - ki - ta, ni cu - dzi, }
2) Ma - ki - ta, ni cu - dzi, }
3) Ma - ki - ta, ni cu - dzi, }
4) Ma - ki - ta, ni cu - dzi, }

A single staff of music in 4/4 time, featuring a treble clef and a key signature of one flat. The melody continues from the first system.

5) Ma - ki - ta, ni cu - dzi, }
6) Ma - ki - ta, ni cu - dzi, }

Spodziejcie, jak grzechu, }
Przyjdzie was drogi. }

Comona kulina.

kol. Halki, pow. deish.
oprac. O. Franutenowa
M.C. Kł. M.

A single staff of music in 4/4 time, featuring a treble clef and a key signature of one flat. The melody consists of several measures of quarter and eighth notes.

1) Co - wa - na ka - li - no ca - ty }
2) Co - wa - na ka - li - no ca - ty }
3) Co - wa - na ka - li - no ca - ty }

A single staff of music in 4/4 time, featuring a treble clef and a key signature of one flat. The melody continues from the first system.

4) Co - wa - na ka - li - no ca - ty }
5) Co - wa - na ka - li - no ca - ty }

Imnie matku nie bita,
Jani sama zasmucila sie,
Ze mi dat bog,
Nie przemysly mi bog,
Kogom wstawi kochala.

051579

Opiekun pisma:

prof. W. CHMIELEWSKA.

Redaktor naczelny:

BUJONEK JÓZEF (VIII).

Zastępca Redaktora:

SZUBICZ BEJRACH (VIII).

Członkowie Komitetu Redakcyjnego:

PUCIATÓWNA MIROŚŁAWA (VII)

CYTOWICZ LEONID (VIII)

RYNDZIONEK JÓZEF (VII)

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Zastrzega się zmianę w rękopisach.

Pseudonimów nie uwzględniamy.

Prenumerata roczna:

z przesyłką . . . 1 zł. 25,

bez przesyłki . . . 1 zł.

cera pojedynczego N-u 25 gr.

Cena ogłoszeń zależnie od umowy.

Prenumeratę należy wysyłać pod adresem Redakcji.

Adres: **Redakcja „Naszego Głosu“** (przy gimnazjum), **Dzisiaj,**
ul. Piramowicza 1.

KSIĘGARNIA
Polskiej Macierzy Szkolnej
w Dziśnie

Zaopatruje młodzież
w książki szkolne
oraz we wszelkie przybory
piśmienne.

LMA VRUBLEVSKIŲ BIBLIOTEKA



002 00455638 5

051579